



ЗАЛА  
ШКАФЪ  
ПОЛКА

4  
22  
№ 40.

4<sup>2</sup>. 22. 2/40

Wydawnictwo „Głosu”

# BAJKA O DOBROBYCIE.

PRZEZ

*Juana Franke.*



WARSZAWA.

—  
1890.

Bajka ta napisana została pod wrażeniem okropnych wiadomości o mordowaniu bydła i o groźącym głodzie w 70 powiatach Galicyi, a równocześnie pod wrażeniem kompletnej bezczynności władz galicyjskich i upewnień, idących od namiestnictwa lwowskiego i od wydziału krajowego, że żadnego głodu w Galicyi niema, jakoteż pod wrażeniem konfiskat dzienników krajowych za podawanie faktycznych wiadomości o klęsce, pod pozorem że to jest szerzenie zatrzważających, a bezpodstawnych pogłosek. Bezpośrednim impulsem do napisania powyższej bajki posłużył program nowego wydawnictwa: „*Ekonomista polski*”. Autorowie tego programu, mówiąc o środkach podniesienia naszego bytu ekonomicznego, wspomniawszy o kolejach, turystach, propinacyi, nafcjarstwie, postawiwszy jako kwestyję życiową Galicyi — zamknięcie Fiuczańskiej rafinerii nafty, o co ich zdaniem należy się starać wszelkimi siłami, gdy przyszli do drobnej własności, t. j. do chłopów, nie znaleźli w nowym arsenale dla nich żadnej innej rady, jak tylko: pracujcie więcej! Mądrość ta mimo woli przypomniała mi smutne karty dotychczasowej ekonomicznej historii Galicyi, które też kilkoma słowy przypomniałem w swej bajce. Treść jej nie jest więc tak całkiem bajeczną. Opowiedziane w niej konfiskaty szpichrzów gminnych, lasów, kapitałów leżących, królewszczyzn i funduszków kościelnych, odbieranie ziemi ludności miejscowej i oddawanie jej kolonistom niemieckim — nie mówiąc już o wysoce pedagogicznem traktowaniu ludu przez rozmaitych panów „*Kreisamtów*” — wszystko to fakty, niestety, wcale nie wyczerpujące historii „*dobrobytu*” galicyjskiego.

*Iw. Fr.*

Był tu sobie kiedyś Dobrobyt. Nie wiem, czy kto z was osobiście zapamiętał go, więc muszę opisać go tak, jak mi go opisywał nieboszczyk mej babki cioteczny stryj.

Stary Dobrobyt, było to sobie indywiduum nawskroś niemoralne. Główną jego zasadą było: jak jest co, to hojnie! A że z rodu był on Dobrobyt, więc zawsze miał z kądem być hojnym. Lubił on podjeść sobie porządnie i brzuszek nosił przed sobą taki, że kolana swe widywał tylko we śnie, w błogich wspomnieniach swej młodości. Piwa, miodu i wszelkiego trunku także za płot nie wylewał. A że był leniwy, to się rozumie samo przez się — gdzież jemu było z takim brzuszyskiem, z pijaną głową, naginać się do pracy! I po co zresztą miał się męczyć, kiedy był sobie Do-

brobyt, a z boku mówiono, że jemu ten z bagniska pieniędzy donosi. Za to do bitki, do kłótni i do miłostek krew miał okrutnie gorącą, a jaki był dumny i zarozumiały, o tem i mówić niema co. Jednem słowem, jak jest siedem grzechów głównych, tak wszystkie niby na tablicy wypisane były na czerwonej, obrzęklej twarzy, w jego niewielkich, tłuszczem zasłanych oczkach.

Chodzi, bywało, to czupiradło po naszym kraju, nadmie się, że ledwie sapie, a gdzie się obróci, wszędzie buja żyto, pszenica, trawa równo z chłopem, wszędzie lasy ciemne, nieskończone i pełne dzikiego zwierzrza, a rzeki i stawy pełne ryb—słowem, dobrobyt.

Chodzi sobie i wyśpiewuje na całe gardło;

Wesoły, szczęśliwy  
Krakowiaczek ci ja!

A mój konik siwy  
Rażno się wywija!

Wywijaj się, rażno bież,  
Podkówkami ognia krzesz!

Oddawna już mawiali mu ksiądz pleban:

— Ej, nieboże! Żałuj za swe grzechy, popraw się, bo to się niedobrze skończy.

Ale on ani słuchać nie chciał.

— Co mi tam! — mawiał! — Przecieżem Dobrobyt! Prędeż mię na tamten świat wyprawią, niż mam zmienić swą naturę.

— A ty myślisz, że cię nie wyprawią?

— No, niech tylko spróbują! — krzyczał Dobrobyt. — Kto się ośmieli? Przecież to kryminał!

— A ja ci mówię: znajdą się tacy, którzy się ośmielą i nawet do kryminału za ciebie, grzesznika takiego, nie pójda.

— E, — odpowiada Dobrobyt, — wilka się lękać, to nie iść do lasu. Jedna tylko rzecz pewna, księżu dobrodzieju, że wszyscy pomrzemy i dyjabłu w zęby pójdziemy. Ale ktoby tam sobie tem głowę suszył! Co było, tośmy widzieli, a co będzie, tego nikt nie wie, i ksiądz pleban także: Nuże, lepiej wypijmy po kielichu i zaciągnijmy piosnkę, żeby aż się nasze góry odezwały.

Tak to hulał nasz Dobrobyt, i ani myślał, że jest bieda na świecie. Aż tu buch! Pewnego dnia ni siadło — ni padło, przyszło

wezwanie od pana Kreisamta: jutro na ósmą godzinę rano taki a taki Dobrobyt ma się stawić do kancelaryi.

Pierwszy raz w życiu naszemu Dobrobytowi zaszemrały mrówki po za plecyma. I czego też chce odemnie pan Kreisamt? Przecieżem podatki wszystkie popłacił, procesować się—z nikim nie procesuję, kary żadnej nie mam, a znajomić się z panem Kreisamtem nie mam chęci. Ale cóż robić, kiedy nakaz, to trzeba iść.

Na drugi dzień raniutko kazał Dobrobyt zaprządz konie i pojechał stawić się do pana Kreisamta.

— Niech będzie pochwalony!—rzekł on uczciwie, wchodząc do kancelaryi.

— A, czintopry, czintopry!—rzekł pan Kreisamt.—A co wy za jeden, klopa, czego wam potrzeba?

— Ta, proszę pana, jestem Dobrobyt. Pan mię czegoś wołali. Oto ferdelunek.

— Aha, aha, to wy Dobrobyt! Dobrze, dobrze, panie Dobrobycie, siadajcie sobie! Mamy też cokolwiek na was pomówić.

— Na mnie?

— No, na was, za was, do was—to wszystko jedno. Powiedzcie no mi, panie

Dobrobycie, slyszalem, ze u was jest szpichlerz gminny?

— Ta jest.

— A duzo w tym szpichlerzu maciezboza?

— Ta jest zyta tysiac korcy, pszenicy cos z piecset, a owsa ponoć bedzie z piecnaście set...

— Ho, ho, ho! To dobrze! To bardzo dobrze! Nam akurat tyle potrzeba.

— Wam, panie Kreisamcie?

— No, tak, nie mnie samemu. Pan Kriegsminister pisze, ze jemu potrzeba. Wiec wy, panie Dobrobycie, pozwolicie nam zabrac sobie to zboze?

— Ba... ba... a to jakim prawem?—wybelkotał zdziwiony Dobrobyt.

— No, no, no! Nie myslcie, ze my to za darmo! Nie, my nie tacy ludzie. My wam damy taką obligacyję, rozumiecie?

— Nie, nie rozumiem. Co za obligacyję?

— Taki papier, który możecie sobie schowac.

— A można go jeść, gdy mi chleba nie stanie?

— Ach, glupia wy klopa, panie Dobrobycie. Cha, cha, cha. Wam tylko aby jeść.



A wiecie wy, Dobrobycie, co to jest Vaterland?

— Nie, panie, nie wiem.

— Oj, oj oj! — zakrzyczał pan Kreisamt, chwycił się za głowę i zaczął skakać po kancelaryi. Dobrobyt myślał, że pana raptem zabolął ząb, a to pan Kreisamt tak się dziwił, że Dobrobyt nie wie, co to jest Vaterland.

— No, słuchajcie, panie Dobrobycie, — rzekł pan Kreisamt, uspokoiwszy się nieco, nie bądźcie śmiesznym! Vaterland to jest nasz cesarz, nasze wojsko, nasi ministrowie, i ja. Dla Vaterland każdy klopa powinien oddać wszystko, co ma, i tego jeszcze za mało będzie.

— Ba, panie Kreisamcie, a jeżeli ja zginę z głodu?

— Głupia klopa. Byle Vaterland zdrów był, a klopa zawsze będą! Nie zginiesz, nie bój się! A te obligacyje o którychem ci wspominał, będą ci niosły procent.

— Ja, panie, nie chcę procentu.

— Nie chcesz? Tem lepiej. Ja to zaraz zapiszę do protokołu. A po zboże jeszcze dziś wyszlę fury, by je zabrały.

— Nie, panie, ja na to nie przystanę.

A nuż u mnie nie urodzi, co ja wtenczas będę robił?

— E, nie urodzi, nie urodzi! Tylko pracuj porządnie, to ci zawsze urodzi. Ale jam słyszał, panie Dobrobycie, że ty jesteś wielki leniuch, że ci się pracować nie chce. Słuchaj nieboże, żebyś tego więcej o tobie nie słyszał!

— A was, panie, co to obchodzi?—odparł Dobrobyt, któremu nareszcie za dużo było tych nauczek.—Przecież ja do pana nie idę chleba prosić, a ot właśnie pan do mnie przyszedł.

— Co? Jak? Ty do mnie tak śmiesz przemawiać!—wrzasnął pan Kreisamt.—Hej, amtsdiener! Bank heraus! Wsypcie mu!

Jeszcze nasz Dobrobyt nie zdołał się obejrzeć, a już ławka w kurytarzu stała na pogotowiu, a cała hurma hajduków chwyciła go i wsypała mu tak, jak mu jeszcze nikt, od kiedy żyje, nie sypała. Następnie zaprowadzili go napowrót przed pana Kreisamta.

— Panie,—zaczął Dobrobyt trzęsącemi się ustami,—panie, jakim to prawem?

Ale pan Kreisamt przerwał mu mowę:

— Milcz, klopa, i nie nikomu nie mów!  
Oto moje prawo!

I uderzył ręką o dużą księgę, oprawną w świńską skórę.

— Umiesz czytać?

— Nie panie, nie umiem.

— No, to milcz! Oto jest moje prawo, paragraf czurem-rem-rem! A teraz powiedz mi, panie Dobrobycie, masz ty pieniądze?

— Ta mam coś trochę.

— Trochę, trochę! Co to znaczy: trochę? Mów dokładnie, ile masz?

— Ta będzie tam z dziesięć tysięcy.

— U, dziesięć tysięcy. I na co tobie, głupia klopa, tyle pieniędzy? Co ty z nimi robisz?

— Położyłem do skrzyni i leżą. Jeść nie proszą, a nie daj Boże czarnej godziny, to się przydadzą.

— A co, czy nie mówiłem?—radośnie krzyknął pan Kreisamt.—Gdzie głupi klopa wie, co robić z pieniędzmi? A Vaterland potrzebuje pieniędzy! dużo pieniędzy! Nie bój się, panie Dobrobycie, to ci nie przepadnie. Dostaniesz obligacje.

— Bierz was lichy, panie, z waszemi

obligacyjami! — krzyknął Dobrobyt, sam o sobie zapominając ze złości.

— Co? Jak? Ty do mnie śmiesz w podobny sposób? — zapienił się pan Kreisamt. — Amstdiener, wsypcie mu!

Daleko, daleko uleglejszym stał się nasz Dobrobyt po drugim wsypaniu. Przekonał się nieborak, że z panem Kreisamtem nie ma żartów.

— Bierzesz obligacje, głupia klopa? — krzyknął do niego Kreisamt.

— Ta biorę, proszę pana.

— No, widzisz, tak było trzeba z samego początku powiedzieć. A słuchaj no ty, klopa, słyszałem, że masz konie dobre.

— Ta mam proszę pana.

— A dużo?

— Dziesięć par.

— Dziesięć par? Czyś ty się wściekł, na co ci tyle?

— Ta tak, panie, swego chowu. Trafi się sprzedać, to sprzedam, a nie, to niech się chowają.

— Słuchaj, panie Dobrobyt, Vaterland potrzebuje koni na wojnę. Dwie pary dla ciebie wystarczą, a na resztę na, masz kwit.

— Na cóż mi się ten kwit przyda?

— Schowaj go! Kiedyś, jak będą w kasie pieniądze na zbyciu, dostaniesz za konie zapłatę. A konie dziś jeszcze każe zabrać.

Dobrobyt tylko w głowę się poskrobał i nic nie odpowiedział.

— Słuchaj, panie Dobrobycie, — mówił dalej Kreisamt, — a dużo ty masz gruntu?

— Ta dużo nie dużo, ot tak tyle, że dla mnie wystarczy.

— Glupia klopa, nie o to się pytam; czy dla ciebie wystarczy, czy nie, ale ile masz morgów?

— Ta będzie coś ze dwadzieścia.

— Oho, tak dużo. No, to tak nie może być. Każemy to przemierzyć. Tego dla ciebie za dużo. Odetniemy kawał dla mego brata von Draussen.

Dobrobyt tylko oczy wytrzeszczył.

— Słuchaj no ty, a dużo ty płacisz podatku?

— Oj, panie, dużo! Po dziesięć dydków od morga.

— Cha, cha, cha! I to się u ciebie nazywa dużo! Cha, cha, cha! Od dziś bę-

dziesz płacił z morga po pięć reńskich rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem.

— No, to jak sobie chcesz. Zrozumiesz to prędko i bezemnie. A powiedz no ty mnie, gdzie ty pasiesz bydło?

— Ta w lesie.

— A czyj to las?

— Ta Boży?

— Co? Jak? Boży?!

— No, tak. Pan mówi, że jego, a chłopci mówią, że ich. A ja mówię jedno: ani pan go nie sadił, ani chłopci, więc on Boży. A używać—używamy.

— W lesie bydła paść nie wolno! Las pański! Oto jest patent!—krzyczał pan Kreisamt.

— A gdzież ja się z bydłem podzieję, kiedy mi i pola urywacie?

— Podziejaj się, gdzie chcesz! Dla mnie wyrznij je lub w stajni zamykaj, a w lesie paść nie wolno!—krzyknął Kreisamt.

— Nie, panie!—krzyknął również Dobrobyt, czując, że coś jak gdyby oderwało się w jego wnętrzu.—Ze mną róbcie już sobie, co chcecie, ale o bydło ja się upo-

mnę i nie ustąpię. To nie może być! To śmierć moja.

— Milcz kłopa, i idź do domu!—tupnął nogą pan Kreisamt.

— Nie, panie, nie będę milczał i nie ustąpię się stąd. Ten patent musi być zniesiony!

— Co? Jak? Ty śmiesz? Amtsdieners wysypcie mu!

— Sypcie, ile chcecie,—krzyczał Dobrobyt,—choć na śmierć zabijcie, ale ja od niego nie odstąpię.

— Wysypcie i zamknijcie go!—rzekł pan Kreisamt i poszedł do domu na obiad.

Dobrobyt dostał co dostał w to miejsce, z kąd nogi rosną, a w dodatku wysiedział się w areszcie z pół roku, dopóki pan Kreisamt nie przypomniał go sobie i nie kazał wypuścić. Nasunąwszy czapkę na oczy, i nie oglądając się, Dobrobyt poszedł do domu.

W domu zastał takie nowe porządki, że swych czterech ścian nie poznał.

Co się z nim dalej stało, o tem historia milczy. Czy umarł, czy się przerodził, trudno zmiarkować. Na wszelki sposób ten Dobrobyt, który dziś, Bogu dzięki,

mamy w kraju, i który nam wszystkim tak dobrze znany, jest całkiem niepodobny do owego starego. Nasz Dobrobyt jest cichy, pokorny, pracowity, oszczędny, moralny do ostatniej nitki, poprzestający na małym—jednym słowem, jest wprost przeciwny owemu staremu. Lecz najgłośniejsza rzecz, że nasz Dobrobyt działa z upoważnienia i za potwierdzeniem władz. Parę razy zdawało się już nawet, że ot, ot—już po nim będzie, ale zawsze w sam czas wychodziło rozporządzenie od władzy: Dobrobyt ma być—i rzeczywiście, Bogu dzięki, mamy go do dziś dnia. Dawnej, grzesznej natury nie pozostało w nim ani śladu. Czasem chyba, przez sen, bełkocze on, i to na żałosną nutę:

Kra... Kra... Krakowiaczek ci ja.

Ale jakie tam były jeszcze słowa w tej piosence, zapomniał, choć mu w łeb strzel!







